

Jan Grosfeld: Zmartwychwstały Chrystus udziela nam genomu Boga

Po zmartwychwstaniu Jezus ucieleśnia kogoś mającego nieprawdopodobną moc udzielania prawdziwego genomu Boga. To znaczy udzielania miłosierdzia, choć to słowo po polsku jest kiepskie. Lepsze jest słowo hebrajskie rahamim, które jest z tego samego rdzenia, co rehem. Rehem oznacza macicę, łono, matrycę, inaczej rzecz ujmując, jest źródłem życia, miłości – mówi Jan Grosfeld z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w wywiadzie dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Triduum Sacrum.

Jakub Dudek (Teologia Polityczna): Panie Profesorze, w czasie Wigilii Paschalnej wierni śpiewają starożytne Orędzie Paschalne tzw. Exultet. W pewnym momencie pojawiają się w nim słowa: „szczęśliwa wina, skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel”. Na pierwszy rzut oka to bardzo dziwne sformułowanie. Jak wina może być szczęśliwa? A jeśli już to przez kogo została popełniona?

Jan Grosfeld, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego: Istota spojrzenia w ramach wiary, która się zrodziła wśród Żydów, a potem przeszła do chrześcijaństwa, czyli tak zwanej wiary biblijnej, sprawia, że odpowiedź na Pana pytanie brzmi – Ja, My. Zawsze istnieje pokusa,

że będziemy przerzucać odpowiedź na to pytanie z teraźniejszości w przeszłość albo na kogoś innego. Jako pierwsze powinno przychodzić na myśl, że jest to słowo, które dociera do słuchającego.

Po co to słowo jest proklamowane? Otóż po to, żeby taka osoba otrzymała wiarę, bo wiara bierze się właśnie ze słuchania. Dlatego też, jeśli odpowiedź tego człowieka będzie omijała Ja, będzie pewnego rodzaju alienacją, próbą uczynienia słowa nieskutecznym. Słowo przychodzi właśnie teraz, a nie kiedy jest zapisane w Piśmie Świętym. Po pierwsze Biblii w niebie nie będzie, a po drugie kiedyś jej nie było, a Pan Bóg działał. Zatem pełna odpowiedź brzmi: Ja – teraz, a nie tylko Ja – kiedyś. Istnieje pewne niebezpieczeństwo, że będę rzutował moją winę w przeszłość. To znaczy, kiedyś coś złego zrobiłem, zostało mi odpuszczone, do widzenia. Już więcej nie muszę się nawracać. Z tego powodu złości mnie lub śmieszy nieco, gdy ktoś opowiada, że nawrócił się w roku 1991, a przecież wezwanie do nawrócenia jest teraz.

Mylne będzie więc patrzenie na tę winę tylko w kategoriach grzechu pierwородnego?

Niekoniecznie. Jeśli Duchowi Świętemu uda się przebić do mnie i pokazać mi, że mam naturę skażoną i istnieje pewna sytuacja egzystencjalna, w której zawsze moje Ja będzie odpowiadało przeciwko Bogu. Będę się bronił przed oskarżeniem o winę, bo myślę, że jak się przyznam, to umrę. Że moje Ja będzie umierało egzystencjalnie. Tymczasem jest zupełnie odwrotnie, bo jaki jest Bóg? Czy będzie mnie karał za to, że się przyznam do winy? Czy może jest taki, jak ojciec syna marnotrawnego, który będzie szczęśliwy, że może przyjąć go z powrotem i może dać mu na nowo swoją tożsamość, swoje ojcostwo.

Synowi marnotrawnemu, który wrócił ojciec daje pierścień, posiłek i najpiękniejsze szaty. Przystraja go w nową rzeczywistość, czyli w ubiór samego Boga. Krótko mówiąc, odpowiedź na to, kto jest winny, zależy od tego, czy kieruje nami lęk i przekonanie, że Bóg jest zarazem sędzią i prokuratorem i chce dla mnie źle, czy też może jest Ojcem miłosiernym.

Skoro już ustaliliśmy, kto jest winny, to przejdźmy do winy jako takiej – czym ona w istocie jest?

Ta wina polega na przekonaniu, że ja jestem Bogiem. Gdy pierwsze Boże przykazanie jest przeze mnie zaprzeczone, odłączam się od Boga. Wszystkie inne przykazania są wobec tego drugorzędne. „Słuchaj Izraelu (...) nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Któż zatem jest dla mnie przede wszystkim Bogiem? Ja sam. Trzymam moje życie w ręku, bo nikt go nie chroni, gdyż uwierzyłem wężowi w raju. Adam i Ewa są figurami człowieka w ogóle. Wiadomo dziś, że pierwsze jedenaście rozdziałów Księgi Rodzaju, mówiących o stworzeniu człowieka, zostało napisane na końcu. Było tak, ponieważ, kiedy natchnieni Żydzi opisywali historię relacji z Bogiem, zabrakło im początku. I dlatego dodali taki początek, który z owego doświadczenia historyczno-religijnego wyprowadzają określoną, całkiem odmienną od zwyczajowej wizję człowieka i Boga. Mianowicie w tej wizji moją winą jest, że uznaję, iż Boga nie ma. Nie robię tego jednak w sposób intelektualny, ale poprzez czyny, egzystencjalnie. To, co ja myślę, może nie mieć żadnego znaczenia, dopóki nie będzie zweryfikowane przez życie, przez moje postępowanie.

Dlatego też młodzi często się buntują na hipokryzję drobnomieszczańskich rodziców, bo mają wycucie nieprawdy. Często rodzice już są tacy uładzeni, pogrążeni w kompromisie ze światem, jakby zabetonowani w tym życiu. Krótko mówiąc winą jest powiedzenie Bogu „nie”. Jeżeli On nie jest dobry, tylko zły, a przecież mówią, że powinien być dobry, to pewnie go nie ma. Jeżeli nie jest moim Ojcem, bo nie jest dobry i miłosierny, a na końcu może okazać się, że go nie ma, to skąd ja się wziąłem? Ja sam muszę nadać sobie jako źródło, tożsamość. Wtedy mogę robić wszystko. Stworzę np. 25 płci. Będę rządził narodami, ciemniżył biednych, mordował bogatych. Będę mógł robić absolutnie wszystko, konia uczynię senatorem, a tych, których nie akceptuję zniszczę w taki czy inny sposób. Nie ma granicy dla człowieka. Kultura jest pewnym dobrym ograniczeniem, tak samo prawo, ale to nas nie powstrzyma. Demokracja daje pewne szanse, a i tak nie przeszkodziła w wyborze Hitlera.

Czyli człowiek może robić każdą rzecz, jeżeli pierwsze przykazanie zostanie zanegowane?

Wszystkie nasze winy są tylko przejawianiem się tej winy podstawowej. Bóg nie jest miłością. Bóg nie jest dobry. Zapewne go w ogóle nie ma, bo gdyby był, to zatroszczyłby się o dzieci na świecie, które są mordowane i molestowane. To jest bardzo poważny problem. Byliśmy z żoną niedawno we Włoszech i pewna kobieta, zresztą Polka, zapytała nas: „Widzę, że chodzicie do kościoła. Ja przestałam wierzyć z powodu cierpienia dzieci na świecie, więc powiedzcie mi, jak to jest z tym Bogiem?”. Lekceważyć takie pytanie, nie jest rzeczą dobrą. A odpowiedzieć na nie prosto też się nie da. Ja wtedy nie odpowiedziałem prosto. Powiedziałem, że jeśli będzie słuchała Słowa, wówczas

stopniowo będzie dostawała to, co ono obiecuje, czyli wiarę. To znaczy: „złem, które wyrządza człowiek, nie będziesz się do tego stopnia przejmowała, by skandal cierpienia mógł zaprzeczyć twojej wierze. Skoro jednak z takiego powodu przestałaś wierzyć, to ta wiara nie była tą wiarą, o którą chodzi”.

Wiele osób przestaje chodzić do kościoła, ponieważ ksiądz powiedział złą homilię albo ma kochankę. Z takiego powodu przestają mieć relację z Bogiem, przestają szukać ratunku. Jak się jest chorym, to się idzie do szpitala. Nie chodzi się tam, uważając, że nie jest się chorym, bo wtedy chodzilibyśmy tam z przyzwyczajenia, a w najlepszym razie ze strachu, co nie miałyby sensu.

Mimo wszystko wina kojarzy się negatywnie. Dlaczego ta wina określana jest błogosławioną?

Oczywiście, w ludzkim myśleniu winę kojarzymy negatywnie. Byłoby dziwne, gdybyśmy myśleli, że jest ona czymś dobrym. Jednak w myśleniu biblijnym, judeochrześcijańskim, wina też nie jest czymś dobrym w takim znaczeniu, że pragniemy popełniać grzechy, bo uważamy je za coś dobrego. Nie to miałem na myśli. Chodzi o pewien akt dynamiczny, że jedynie uświadamiając sobie swoją winę, mogę doświadczyć miłosierdzia. W przeciwnym razie nie mogę doświadczyć, kim jest Bóg. Będę nadal żył w przeświadczeniu, że Bóg jest kimś kto mnie ogranicza. Takie przekonanie mieli Adama i Ewa, kiedy posłuchali węża, który mówił im: Bóg chce was ograniczyć, jest zazdrosny o was i nie chce, byście byli szczęśliwi. Dlaczego błogosławiona wina? Dlatego, że właśnie kiedy dojrzymy swoją winę i przyznamy się do niej, ale nie jak Adam, który ze strachu przerzuca ją na Ewę, to wtedy

doświadczamy miłości Boga. Dzięki temu możemy wchodzić z Nim w relację i mieć odnowione nasze wnętrza. Owszem, dopóki żyjemy, grzech pierworodny będzie nami powodował. Możemy rzec – do następnej spowiedzi, a kiedy ta spowiedź? Wtedy, gdy będzie następna wina, a kiedy będzie następna wina? Za minutę, za godzinę, wieczorem lub jutro. Cóż jest takiego błogosławionego w tej winie? Jak mówi psalm, Bogu podoba się duch skruszony. Jeśli Boga nie ma, to nie ma się do czego przyznawać i trzeba budować swój obraz jak najlepiej. Natomiast jeżeli Bóg jest, wtedy powstaje pytanie: jaki On jest, czy kocha mnie takiego, jakim jestem, czy tylko poprawionego, lepszego? Aby odpowiedzieć na nie, trzeba wołać właśnie o ducha skruszonego, bo sami z siebie go nie mamy.

Jesteśmy pyszni?

Jesteśmy pyszni, ponieważ znajdujemy się w niewoli lęku i musimy trzymać na pewnym poziomie nasze ego. Najczęściej uważamy, że gdy się przyznamy, ono się rozpadnie, nie będziemy żyli i generalnie przegramy. Jesteśmy w totalnym błędzie, ponieważ sytuacja jest odwrotna. Z psychologicznego punktu widzenia jest ona bardzo poważnym wyzwaniem dla naszego Ja. Psychologia według dość powierzchownego podejścia psychologicznego, nie tylko mogę, ale i powinienem bronić swojego Ja. Tymczasem mądrość chrześcijańska mówi inaczej. Cóż bowiem robi Jezus Chrystus? Oddaje własne Ja. A przecież mamy się stawać na obraz i podobieństwo Boga, czyli jego Syna, zaś jaki jest Bóg, widzimy właśnie po Chrystusie: pokorny, oddaje siebie drugiemu. Wezwanie do nawrócenia woła, by się przyznać, że uczyniłem krzywdę drugiemu człowiekowi. Źle o nim myślałem. Nie mówię o rzeczach prymitywnych, takich jak pobicie, zabójstwo, kradzież, ale o złej myśli o innej osobie, o sądzeniu drugiego. Jest to

grzech, z którego najrzadziej się spowiadamy. Nie jesteśmy świadomi tego, co mówi Jezus, że źle pomyśleć o kimś, osądzić, to zabić tę osobę. Często traktujemy takie zachowanie jako mało istotne.

A tak naprawdę to ważna rzecz, dlaczego?

Nasz sąd negatywny o drugim człowieku jest odwrotnością sposobu, w jaki patrzy na nas Bóg. Po pierwsze Bóg widzi wszystkie złe postęпки, także te ukryte, i takich właśnie nas chce. To znaczy, że kiedy On nas kocha? Nie wtedy, gdy się poprawimy, nie po spowiedzi. Zawsze zadaje właśnie to pytanie: czy Bóg nas kocha przed spowiedzią, złego, czy po niej? Intuicyjnie odpowiadamy, że po niej. Tymczasem nie. On nas kocha od początku, bo widzi, jacy jesteśmy nieszczęśliwi i ta miłość wysyła nam ducha skruchy, powrotu. Widzimy ją u syna marnotrawnego, który powraca do ojca. Spowiedź jest powrotem do Ojca.

Trzeba też przyjrzeć się postaci Odkupiciela z fragmentu Exultetu. Przecież gdyby nie On, to ta wina nie byłaby błogosławiona, czyż nie?

Exultet śpiewamy na Wielkanoc, czyli w czasie najważniejszego święta, w którym Chrystus przechodzi ze śmierci do życia. Dla ludzi oddalonych od Kościoła to nic takiego, przecież gdzie indziej zmarli też mogą powstać. Czarownicy voodoo na Haiti robią rzeczy niesamowite. Podobnie jak w księdze Wyjścia, kiedy czarownicy faraona skutecznie konkurowali z Mojżeszem w czynieniu cudów. Śmierć i zmartwychwstanie Jezusa jest wydarzeniem jakby kosmicznym. Ze

śmiercią problemów nie mamy, ale fakt Jego Zmartwychwstania jest wydarzeniem potężnym. To nie jest jeszcze wydarzenie kosmiczne, bo czarownicy mogliby dokonać tego samego. Człowiek umarły budzi się do życia, zostaje wskrzeszony. Nie chodzi tu jednak o samo wskrzeszenie. Sprawą ważniejszą jest, kim jest ten wskrzeszony? Kim jest ten, który zmartwychwstał? Co się dzieje, kiedy On zmartwychwstaje? Wtedy pojawia się ów wymiar kosmiczny, ponieważ ten zmartwychwstały Jezus jest Bogiem. To jest coś niesamowitego! Oznacza to, że istnieje dalszy ciąg tego zmartwychwstania, który jest jeszcze ważniejszy od samej śmierci (i zmartwychwstania). Dlatego koncentrowanie się na śmierci jest pewną pokusą diabelską, która na końcu będzie nas odstręczała od chrześcijaństwa, czyli od Dobrej Nowiny. Na czym więc polega, że ona jest w takim razie dobra? Powracając do poprzedniego pytania o błogosławioną winę, czym ona jest? Wina jest błogosławiona, „...skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel”. To znaczy, wina każdego z nas, od papieża po Hitlera, została zgładzona, tylko dlatego, że okazało się, że ten, który zmartwychwstał jest Bogiem, a nie kolejnym, co „zabili go i uciekł”. Wydarzenia tego nie jesteśmy w stanie ogarnąć. Jest ono przedstawiane, chociażby w sztuce, jako światło. Ono jest czymś pozaziemskim, niebieskim, a Chrystus i Jego Pascha jest czymś więcej, dlatego właśnie światło ukazywane jest jako pewien znak.

Czego dotyczy ten znak?

Po zmartwychwstaniu Jezus ucieleśnia kogoś mającego nieprawdopodobną moc udzielania prawdziwego genomu Boga. To znaczy udzielania miłosierdzia bezwarunkowego, choć to słowo po polsku jest kiepskie. Lepsze jest słowo hebrajskie rahamim, które ma ten sam rdzeń, co rehem. Rehem oznacza macicę, łono, matrycę,

inaczej rzecz ujmując, jest źródłem życia, miłości. W Zmartwychwstałym dotykamy samego źródła życia. Nie chodzi tylko o kobietę, która ma w sobie źródło życia – macicę, ale tym bardziej o samego Boga, który jest źródłem życia. On, mając Istotę zarazem ojcowską i macierzyńską, jest właśnie źródłem życia i daje nam przez zmartwychwstałego Chrystusa nowego Ducha, swego Ducha. Z tego powodu uczniowie musieli czekać na zesłanie Ducha Świętego, bo samo zmartwychwstanie nic im nie dało. Gdy zmartwychwstały Jezus do nich przychodzi, oni widzą tylko jakąś zjawę, są przerażeni. Dopiero gdy zesłany im zostaje Duch Święty, otrzymują nowe oczy, a także nowe nogi, w tym sensie, że mogą iść i głosić Ewangelię, nie bojąc się utraty życia. Mają też nowe serca, to znaczy, nie mają żadnych ograniczeń, żeby oddawać swoje Ja, bo kochają innych ludzi i chcą im dać życie, które sami otrzymali. Tego Ducha człowiek nie posiada, do tego konieczne jest zmartwychwstanie Chrystusa i pełna mocy Obecność Boża, Szekina.

Oczywiście prawdą jest, że ta moc objawiała się wielokrotnie Żydom przed przyjściem Jezusa, bo Bóg jest większy niż Kościół, działa wszędzie i zawsze. Wprawdzie Kościół naucza, że Syn jest równy Ojcu, ale sam Chrystus mówi w Ewangelii, że dobry jest tylko Bóg Ojciec. Dlatego istnieje pewne niebezpieczeństwo, że w pojmowaniu Paschy Jezusa Chrystusa będziemy ograniczali się do wymiaru odkupienia, tymczasem fakt, że jest On ofiarą, jest czymś o wiele mniejszym niż całe Jego misterium. Przecież ofiary wcześniej również istniały. W Starym Testamencie składano ofiary. Paganie także je składali, by przebłagać swoje bóstwa, bo się gniewają i trzeba je przebłagać. Istnieje taki sposób myślenia o Jezusie, według którego On sam składa ofiarę, by przebłagać Ojca jakby On sam nie miał pełni miłosierdzia. Tymczasem Ofiara Chrystusa jest po to, abyśmy zostali wyzwoleni z niewoli grzechu, śmierci i w zamian za naszą wrogość do Boga dać nam

za darmo pełnię życia. Posłuszeństwo Jezusa Chrystusa wobec Ojca, Jego zgoda na oddanie swego życia dotyczy relacji do nas, a nie do Boga. Ojciec czyni rzecz niesamowitą, ponieważ oddaje nam swojego Syna, dla nas rezygnuje z czegoś najdroższego.

Oddaje go nam?

Tak jest. On oddaje go dla nas. Dlaczego? Z miłości, bo widzi, że jesteśmy nieszczęśliwi. Nie mamy klucza do Nieba, do życia szczęśliwego na ziemi, potem do tego wiecznego. Utraciliśmy ten klucz, a więc trzeba go nam przywrócić. Jak to zrobić? Oddać jedyne Syna. Co na to Jezus? Mówi: wolę, by się tak nie stało. Zaraz dodaje jednak „niech się dzieje Twoja wola”, bo wie, że wola Ojca jest dobra. Dla kogo? Nie dla Jezusa, ale dla ludzi, dla nas. Tak więc miłość Ojca przejawia się przez jego Syna, przez zgodę Jezusa, a przedtem przez zgodę Jego matki na urodzenie i na krzyż. Obietnica, którą składa Marii Zachariasz, jest straszna: „twoją duszę miecz przebije”. Matka Jezusa żyła z tą obietnicą 33 lata. Na wszystko się zgadzała, jako Żydówka wychowana w wierze w Boga Jedyne, którego plan jest dla człowieka dobry. Nie próbowała się alienować, szukać czegoś innego, narzekać, że synek ją zostawił i poszedł przepowiadać Ewangelię. Tego nie robiła. Pokora Jezusa Chrystusa jest widoczna w pokorze Jego matki.

W takim razie jak należy rozumieć miłosierdzie Boga w kontekście błogosławionej winy?

Po pierwsze nie należy rozumieć miłosierdzia w sposób ludzki, w którym bardziej łączymy je z litością i z pobłażaniem. Istota miłosierdzia Bożego, tego rehem, które jest rahamim, jest czymś nieporównywalnie większym, możliwością przywrócenia na łono Stwórcy. My ludzie mamy często taki problem ze spowiedzią, że traktujemy ją jako pralnię, w której usuwa się plamę i dalej do przodu do następnego grzechu. Tymczasem Bóg wzywa do nawrócenia, które prowadzi do zmiany życia. Sama spowiedź jest dopiero skutkiem naszego wcześniejszego spotkania z Bogiem, wówczas gdy, będąc daleko od Niego, dostrzegam, że żyję źle i jestem nieszczęśliwy. Zaczynam powoli pragnąć porzucić ten sposób życia, który przyniósł totalne rozczarowanie, klęskę. Nie chcę go, bo jest mi z tym grzesznym życiem źle. Gdyby było mi dobrze, to po co spowiedź? Kto idzie do spowiedzi? Ten, który jest niezadowolony ze swojej sytuacji i cierpi. Jeżeli idziemy z tą intencją, co syn marnotrawny, czyli chcemy wrócić do Ojca, bo tam, gdzie byliśmy, nie da się żyć, wtedy poprzez spowiedź jesteśmy przywracani do jedności z Bogiem, wracamy na Jego łono. Dlatego nazywa się spowiedź drugim chrztem, bo przez chrzest właśnie jesteśmy włączeni w Kościół, w łono Ojca. Cóż jednak znaczy to łono? Ono oznacza, że możemy nabierać nowych cech, nowego kodu genetycznego właściwego Bogu samemu. A czym jest ten Boży kod genetyczny? Jest nim miłość do nieprzyjaciół. Kto jest zatem nieprzyjacielem Boga? Grzesznik, czyli ja. Narzuca się pytanie jak można mieć miłość do czyniących mi zło, zadających cierpienie mojej rodzinie, do kogoś, kto na przykład zgwałcił moją córkę? Jak można mieć miłość do prześladowcy? Do tego, który mnie okradł? Człowiek nie ma tego rodzaju miłości. Ma ją jedynie Bóg i to do każdego człowieka, bo każdego stworzył. Im bardziej oskarżam innych, a mniej siebie, tym mam mniejszą szansę otrzymać kod genetyczny Stwórcy i stawać się nowym człowiekiem.

Bez wiary i Ducha Świętego jest to niemożliwe.

Tak, o tym właśnie mówiliśmy na początku. To jest niemożliwe bez Boga. Człowiek sam nie może wypracować sobie nowego człowieczeństwa, czy mówiąc inaczej, odzyskać swego człowieczeństwa. Nie można sobie postanowić, że teraz nawrócę się, stanę się nowym człowiekiem, bo na przykład będę robił ćwiczenia wielkopostne i przez nie wypracuję sobie miłość do nieprzyjaciół. To jest niemożliwe. Natomiast wszystko jest możliwe, tylko dzięki temu, że Jezus Chrystus umarł, zmartwychwstał i może nam posyłać Ducha Świętego. Pojawia się pewna triada. Śmierć i zmartwychwstanie to jeszcze za mało, potrzeba właśnie mocy Ducha Świętego. Co ona robi? Wygania z nas demony, usuwa lęk. Mówi Pismo: „kto się lęka, ten nie wydoskonalił się w miłości”. Lękam się, że ktoś zabierze mi życie, pieniądze, czas, moje poglądy, że nie będą mnie akceptować. Dzięki Duchowi zmartwychwstałego Chrystusa mogę być uwolniony od lęku. Wyzwolenie jest niezbędne do wiary, bo niby jak mam uwierzyć? Wypracować sobie wiary intelektualnie nie mogę. Proszę zobaczyć, że tak niezwykła postać, jaką była Simone Weil, cały czas się poruszała intelektualnie, uczuciowo i duchowo na pograniczu chrześcijaństwa. Jednak nigdy nie przekroczyła jego progu. Była ona wybitnym umysłem i jako kobieta obdarzona była wielką wrażliwością. To nie wystarcza. Nasze cnoty niczemu nie służą, nie dadzą szczęścia na ziemi, a na pewno nie wywalczą nam nagrody nieba. Mogą nam one jedynie wskazywać pewien kierunek poszukiwania. Nie możemy sobie sami dać zbawienia. Nie możemy także być dla siebie miłosierni. Nam się wydaje, że istniejemy, gdy sobie folgujemy w rzeczach tego świata. Tymczasem wówczas jesteśmy dla siebie źli, bo zamykamy sobie drogę życia, a kroczymy ścieżkami prowadzącymi do śmierci. Dlatego jesteśmy nieszczęśliwi. Św. Paweł, który wiedział, co jest dobre, miał wybitny

umysł, ale stwierdzał, że jest nieszczęśliwym człowiekiem, ponieważ wiedział, co właśnie jest słuszne, ale nie mógł tego czynić. Dlaczego tak jest? Człowiek jest istotą relacyjną, potrzebuje drugiej. W relacji z drugim mogę poznawać nie tylko tego drugiego, ale siebie samego. Mogę zdać sobie sprawę z własnych ograniczeń i zobaczyć, uświadomić sobie, że nie mogę sam sobie dać tego, co jest najważniejsze, do czego zostałem stworzony: miłości do ludzi, życia w jedności z ludźmi. Chrystus powiedział uczniom, po czym ludzie poznają, że są Jego uczniami: jeśli będą się kochali tak, jak On ich kocha, a w rezultacie będzie widoczna jedności tak, jak Syn Boży jest jednością z Bogiem Ojcem. Jezus miał na myśli najpierw miłość i jedności między samymi chrześcijanami. Nie można mówić o miłości i jedności między chrześcijanami a innymi, skoro wśród uczniów Jezusa Chrystusa panują spory i waśnie.

Rozmawiał Jakub Dudek